

## KASIEŃKO MATUCHNO.

Była zimowa noc jasna, gwiazdzista. W taką noc człecowi samotnemu niewiedzieć czemu zbiera się na placz. Bez ochoty, oziębłej, niż za dawnych lat, witano na ulicach Moskwy pochód wesołków i karłów, z arcybłaznem, papieżem pijackim na czele. Nie w smak były ludowi hulaszczce piosenki, a mięsopustnej krotchwili towarzyszyły szepty o znowach, zsyłkach i kaźniach. Ilekroć dwóch znajomych zeszło się ze sobą, zawsze słyszałeś klątwy na głowę carską miotane. Popi szemrali przy ikonostazach, że car nie zachowuje postów, że cześć oddaje bogom rzymskim, miast wielbić świętych pańskich. Bojarowie biadali, że niczem pańszczyźniane chłopstwo, muszą pracować, nie znając chwili spoczynku, bo car zamierzył państwo całe przebudować od piwnic aż do dzwonnice cerkiewnych. Głoszono, że oszalał, że godzinami wpatruje się w lupe, chorych leczy jak medyk, buty szyje jak szewc, statki buduje jak cieśla, snycerstwo zna jak majster, a głowy ścina jak kat. A po dniu, na podobnych zajęciach spędzonym, zrywa się od wieczerzy, sadowi wśród muzykantów i biegle gra na bębnie, bo i w tej sztuce nie ma równego. Kupcy po kramach zawódzili z płaczem, że długie wojny rujnują handel do cna. Chłopi szarpali na sobie zamorskie kurty, a niby święte relikwie przechowywali w zanadrzach swe długie brody, zgolone z cesarskiego rozkazu.

Noc była coraz głębsza, gwiazdy coraz to jaśniej świeciły na niebie. Carewicz Aleksy siedział samotnie w komnacie sklepionej, o ścianach szkarłatnych, na

których wymalowane były girlandy zieleni. Na podłodze piętrzyły się stosy teologicznych foljałów obok tłoczonych misternie książek z legendami o cudach i żywotach świętych pańskich. Carewicz, pochylony nad kartą papieru, próbował sklecić list do swej umiłowanej Afrosynji, pańszczyźnianej niegdyś dziewczki, co miała włosy jak miedź, a w żyłach krew fińską. Pisanie szło mu niesporo, pióro ślaniało się w palcach. Zapomniał, że odebrano mu szpadę i odsunięto od tronu. Marzyło mu się, że w szubie jedwabistej, odziedziczonej po pradziadach, w trzewikach, wysadzanych turkusami, wiedzie rozhovor z uczonymi mnichami, śledząc misterną pracę nadwornego złotnika. Roił, że schodzi do kaplicy i o zmierzchu zimowym mówi pacierze do głowy Chrystusa, patrzącej nań osłupiałemi oczyma ze sklepienia... A hen naokół, ciągnie się carstwo starodawne, wsłuchane w dzwony cerkiewne, pełne zbożnego ludu, który nierychło wstaje z łoża, a wcześniej idzie spać. Niespodzianie ozwała się w Aleksym krew Piotrowa i uderzyła mu do głowy: jał wyobrażać sobie, że podczas nocnej pijatyki miota dzbany cynowe we łby bojarów i wielmożów, objawiających wrzaskiem wdzięczność za to.

Skrzypnęły drzwi. W mniemaniu, że nadchodzi ktoś ze służby, gwarzył dalej z dumami. Lecz zasłyszawszy kroki i śmiech w sieniach, obrócił ku drzwiom trupio blade oblicze o zapadłych policzkach i rozumnych oczach. Zobaczył ojca. Car przyszedł w otoczeniu conocnych swoich kompanów. Ci przydźwigali ze sobą długi stół, na którym jarzyło się dziesięć świec, zatkniętych w bochny chleba. Ileż to razy Aleksy, czując się chorym, naumyślnie nie wzywał medyka, aby ciężiej zasłabnąć i być zwolnionym od podobnych uczt. Jakimże był tchórzem, iż się nie zdobył jeszcze na ucieczkę het daleko z przebraną za

mężczyznę Afrosynią, aby wśród winnic neapolitańskich skryć się przed ojcem i raz na zawsze uniknąć jego kija. Cofnął się w kąt pokoju.

— Aleksy! będziesz nam gospodarzył. Siadaj na przeciw mnie.

Gdy zajęto miejsce przy stole, car najbliższemu sąsiadowi dał w twarz i krzyknął: — Podaj dalej! — Nikt ani przypuszcza, że takich wielkich panów, z którymi car się brata, należy bić po pyskach.

Rozkaz spełniono ochoczo. Kłaśnięcia brzmiały raz za razem. Ostatni dostał w twarz adjutant Wiaziemski, siedzący po lewicy cara, oficer młody i niedoświadczony. Gdy mu wypadło z kolei wzniesć dłoń do uderzenia, zbladł i struchlałym wzrokiem popatrzył na cara. Wśród uczujących nikt nie miał więcej względów i łaski u pana, niż ten młodzieniec jasnowłosy, a przecież krążyły szept, że i on sprzyja synowi i spiskowym. Car postanowił go doświadczyć. Z furją Iwana Groźnego w oczach, ale z uśmiechem dobrodusznym moskiewskiego łyczka, rzekł przeto:

— Wiaziemski! Słuchaj - no, chłopcze. W mojem państwie nieomal każdy przeklina moje imię. Patrz, oto twarz moja. Jeżeli przyznajesz rację zuchwalcom — uderzaj! Możem i ja wart tego samego, co wszyscy. Ale bądź szczery! Chcę tego... i podziękuję ci za to.

Wiaziemski zerwał się i odepchnął krzesło. Zdawało się, że uklęknie. Ale miast tego wlepił wzrok w płomień świecy i szepnął:

— Mam brudne ręce. Pozwól mi je umyć.

Carowi zwisła głowa: I on... Czekał on na co innego.

Wziął próżny kielich i ważył go w palcach. Weszła carowa. Przez cały dzień miała męża na oku. Siadła na krześle Wiaziemskiego. Była ubrana w skro-

mną suknię niebieską. Car, dłoń oparłszy na ramieniu żony, rzekł do Aleksego:

— No, czemu nie pijesz? Dalej. Powtórz. Dobrze. Jeszcze raz. Wstań. Prędeż. Reszta niechaj się nie rusza. Będiesz miał mowę. Czy naprawdę winawiają w ciebie mnisi, że jesteś ukochaniem i nadzieją ludu?

Aleksy drżał, prężąc się, jak na mustrze. Twarz mu postarzała i zszarzała na popiół. Car pobladł również.

W krzyżowym ogniu pytań nie odzywał się Aleksy ani słowem, uporczywie miętosząc w palcach róg halsztucha.

— Czy to prawda, że nienawidzisz mnie, rodzica twego, który ci dał życie? Czy prawda, że niecierpliwie wyglądasz mej śmierci, by zniszczyć plon moich prac? Czy rzeczywiście doradza ci spowiednik przyjąć palmę męczeńską za lud? Ach, ach, nie tylko ten jest męczennikiem, kto ginie na rusztowaniu wobec tłumu. I ja pragnąłem być ojcem, dobrodziejem ludu... Lecz któż z całą pewnością może się pochlubić, że w księdze bożych wyroków dzieła jego wpisane będą pomiędzy sprawiedliwe? A lud i jego sądy? Kto wie, czy ten lud nie uzna jutro za szczęście rządów głupca, w którego żyłach leniwie krąży krew gnuśna. Ale nie pójdą w niebiosy te głosy. Kto dał życie, ten mocen jest odebrać je, gdy trzeba... Kasiu, Kasieneczko, czem ja zawinił, że jestem taki samotny na świecie?

Z przymkniętymi oczyma schylił się ku żonie i twarz oparłszy na jej ramieniu, śmiał się i płakał naprzemian. Wśród gości wszczął się popłoch. Zaczęli zrywać się z miejsc i skupiać za plecami carowej. W śmiechu Piotrowym brzmiała tak rzewna, tak dobroduszna serdeczność, że chyba w chłopskiej chacie spotkać by można podobną. Ale wiedziano oddawna,

że śmiech carski zwiastuje wybuch wściekłości i wzgardy, więc każdy drżał o życie.

— Kasiu, dziecino miła... W Europie biją medale i wydają paszkwile, w których mnie przedstawiają jako półgłówka i błazna. Cóżem zawinił, żem wszędy taki samotny? Jeden jest tylko wśród ludzi równie samotny, jak ja... Ten, który w Szwecji zbiera wojsko i wie dzie je w góry norweskie... Gdzie adjutant! Dlaczego nie nadchodzi jeszcze! Pragnę zobaczyć, czy choćby jeden z was poważy się okazać mi otwarcie czy kocha mnie, czy nienawidzi. Niechaj nawet uderzy, jeśli chce!

Z twarzą śmiejącą się i zapłakaną car podniósł głowę, ale carowa zaczęła gładzić go po kędziorach i nucić ciekim, zerwanym głosem ludową kołysankę o łące szumiącej i o straży anielskiej, czuwającej nad prostaczkami w niedoli.

— Pytam was po raz ostatni, co się dzieje z Wiąziemskim. Czy, głupiec małoduszny, boi się, że go siły zawiodą, gdy przyjdzie policzkować cara? A może tam za progiem waha się i zwleka? A może... kocha mnie?

Mienszykow, który sam jeden nie wstał ze swego miejsca przy stole, wstrząsnął olbrzymią, pudrowaną peruką i rzekł, gładząc ordery:

— Za dawnych lat, kiedy byłem jeszcze kuchciem i sprzedawałem pierogi na ulicach w Moskwie, potrafiłem, ojczulku, trafić do twego serca przypowieścią. Zdawało ci się wtedy nieraz, że tuż nad uchem huk puszczyk, a z za rękawa wysuwa głowę zły karzeł... Dzisiaj zmieniło się wszystko, postarzeliliśmy obaj, i ty, mój dobroczyńco, i ja... Wszakże spróbuję wygodzić ci raz jeszcze i carską twoją wolę spełnić.

Poszedł ku drzwiom, a car wciąż jeszcze dopytywał:

— Dlaczego nie przychodzi adjutant? Czyżby miał ręce tak brudne, że ich nie można wymyć? Pokażecie mi wodę z jego miski!

Mienszykow wrócił, niosąc ostrożnie dużą misę cynową, po wręby pełną jakowegoś płynu, który na pierwszy rzut oka przypominał czerwone wino, trochę spienione.

— Twój adjutant nie żyje. Umył ręce w swojej krwi.

Car zamknął oczy i przylgnął twarzą do ramienia żony, a ta, gładząc mu czoło i rozczesując kędziory, słyszała szept:

— Nie kochał mię, Kasieńko... Bał się... tylko się bał, matuchno...

Przełożył  
STANISŁAW MIŁASZEWSKI.

WERNER V. HEIDENSTAM.